

Krzysztof Masłoń: Wańkowicz? 10 razy TAK!

Książki Wańkowicza, zanurzone całe w naszej historii i tradycji, jednocześnie żywo reagowały na wszystko, co niosła współczesność. Pierwszorzędnym było dla Wańkowicza pytanie, co z przedstawionego przezeń faktu wynika dla Polski. I wbrew dość rozpowszechnionemu mniemaniu, wcale nie udzielał łatwych, tylko pozornie krzepiących odpowiedzi – pisze Krzysztof Masłoń w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Wańkowicz. Między reportażem a gawędą”.

Dlaczego powinniśmy czytać Melchiora Wańkowicza?

Bo jego pisarstwo ma – jak pisała Aleksandra Ziółkowska-Boehm – „niezawodny dar urzekania, jakby autor pojął swoistą tajemnicę całkowitego zdobywania czytelnika”, a tylko posiadacze tego sekretu zapisali się w literaturze naprawdę. Wiedział, że lekka forma nie jest przeszkodą w przekazywaniu poważnych treści, a czytelnik wiele wybaczyć może pisarzowi, ale nie zniesie nudziarstwa.

Bo absolutnie świadomie tworzył mity, od najlepszych – Mickiewicza czy Sienkiewicza ucząc się tego, że to poprzez mit odtworzyć można choćby kraj lat dziecińczych czy utraconą Ojczyznę. I że nie trzeba bać się idealizacji, gdy piszemy o tym, co najważniejsze. Tak właśnie opowiedział w „Szczenięcych latach” o rajskiej krainie swojego dzieciństwa, w których przecież obok stron sielankowych pojawiają się

strony dramatyczne i nuty tragiczne zgoła. Nikt z czytelników tej uroczej książki nie zapomni rozdzierającej serce suplikacji finalizującej opowieść o domu, który nie przeżył rewolty końca drugiej dekady XX wieku: „O Boże! O Wielki Boże! Nie ma Kałużyc!”. Inny dom rodzinny, w Nowotrzebach przetrwał wprawdzie najtrudniejsze chwile („Szczęsne lata” ukazały się w 1934 r., a więc przed ostateczną zagładą kresowego świata), ale cóż z tego, skoro: „Życia dawnego nie ma. Musiało odejść. Rozumiem. Ale żal”.

Bo jego książki to kwintesencja polskości. Zanurzone całe w naszej historii i tradycji, jednocześnie żywo reagowały na wszystko, co niosła współczesność. Ale też zawsze pierwszorzędym było dla Wańkowicza pytanie, co z przedstawionego przezeń faktu wynika dla Polski. I wbrew dość rozpowszechnionemu mniemaniu, że był urodzonym optymistą, wcale nie udzielał łatwych, tylko pozornie krzepiących odpowiedzi. W „Zielu na kraterze” znajdziemy scenę, w której żona autora wchodząc do gabinetu pisarza spogląda na rozłożony atlas i rocznik statystyczny i retorycznie pyta: „Kwiczoły?”. Tym słowem w domowym języku nazywano zajęcia mało produktywne może, za to przynoszące satysfakcję, gdy oddając się marzeniom, tworzymy wizję lepszej, dalece poprawionej rzeczywistości. W wypadku Wańkowicza były to polskie „kwiczoły”. „Że – powiedzmy – wróżka daje Polsce tyle a tyle kilometrów dróg, tyle a tyle inwentarza, tyle a tyle surowca, takie przewarstwienie ludności, takie oto przebudowy hydrograficzne, tyle a tyle budynków, szkół, szpitali, tyle obrabiarek i tak dalej”. No i trzeba to wszystko dopasować do możliwości finansowych, innymi słowy mówiąc – stworzyć budżet państwa, i to miarę naszych marzeń. To z takich „kwiczołów” wziąć się miały, w takim a nie innym kształcie „COP” i „Sztafeta”, pełne dumy z tego, co udało się II Rzeczypospolitej osiągnąć w tak krótkim czasie, ale też nie wolne od obaw i od gromu zadań czekających na realizację. Tak naprawdę mógłby Wańkowicz powtórzyć

za Jozefem Mackiewiczem: „Optymizm nie zastąpi nam Polski”. Był to pisarz sprawy polskiej, ale nie znaczy to, że jego umiłowanie polskości było ślepe.

Arcydzielność nadaje „Zielu na kraterze” wejrzenie przez pisarza w samą esencję życia i wiara w jego cud, który – mamy tę nadzieję – uniemożliwi ekspansję cywilizacji śmierci

Bo stworzył arcydzieło, jakim jest „Ziele na kraterze”. Stuprocentową rację mają Stanisław Falkowski i Paweł Stępień w „Ciężkich Norwidach...” (Świat Książki, 2009), akcentując rangę

dwóch zasadniczych tematów, rozwiniętych przez autora tej zadziwiającej książki będącej melanżem, między innymi, sagi rodzinnej, reportażu, poematu, i trenu: „’Ziele na kraterze’ tłumaczy, po pierwsze, w jaki sposób człowiek wrasta w świat, to znaczy w przestrzeń, w krajobraz, język, obyczaj, w rodzinę i pomiędzy innych bliskich, w społeczeństwo i historię – rodzinną, narodową i powszechną, w nieprzebrane dziedzictwo kultury domowej, narodowej i ogólnoludzkiej, wreszcie w sam byt w jego wymiarze biologicznym i metafizycznym. (...) Po drugie, Wańkowicz podejmuje temat znany dobrze z *Pana Tadeusza*: pytanie, jakie wartości, zwyczaje, wiadomości, odruchy, słowa, zdarzenia stanowią treść życia rodziny, narodu i ziemskiego życia człowieka w ogóle tak ważną, że godną przechowania niezależnie od najbardziej niesprzyjających okoliczności – i jakie warunki muszą być spełnione, żeby je przechowano skutecznie”. A arcydzielność nadaje „Zielu...” wejrzenie przez pisarza w samą esencję

życia i wiara w jego cud, który – mamy tę nadzieję - uniemożliwi ekspansję cywilizacji śmierci. Ta bowiem, jak widzimy, nie ustała po zakończeniu wojny.

Bo poza Henrykiem Sienkiewiczem żaden polski pisarz nie wypracował tak wspaniałego stylu, nie podporządkował języka swoim wymaganiom, nie uczynił z niego tak powolnego sobie narzędzia. Autora tego – odwołam się znów do Aleksandry Ziólkowskiej-Boehm – „cechowało rzadkie połączenie wrodzonej, zdawałoby się nieokiełznanej, werwy pisarskiej ze świadomą celu dyscypliną. Jego styl robił wrażenie żywiołowego, niekontrolowanego, pisarz niczego nie precyzował dokładnie, nie wykańczał żadnego obrazu ani myśli – a jednak potrafił we własny sposób zasugerować obrazy i pojęcia. Można by to przyrównać do metody impresjonistycznej w malarstwie”.

Bo osiągnął szczyty artystyczne, uprawiając czy, jak kto woli, wskrzeszając umiłowaną przez siebie gawędę. Artur Sandauer, krytyk wyjątkowo sceptyczny, pisał: „Nie znam współczesnego pisarza, który by był równie zrośnięty z literaturą sarmacką. Jest to kontynuator jedyne właściwie gatunku, który możemy uważać za rdzennie polski; gawędy. Tradycja nie była jaka: wyrósł z niej *Pan Tadeusz*”. Ale autor „Tędy i owędy” nie poprzestał na reanimacji gawędy szlacheckiej; podążając śladami Henryka Rzewuskiego on ją zmodernizował, dostosował do wymagań nowoczesności, nadał jej niesłychaną ekspresję. A we wstępie do „Szczenięcych lat” retorycznie pytał, „dlaczego równie bogatym tworzywem nie a być ujęta w karby gawęda szlachecka z jej niesłychaną plastyką, zbliżeniami, egocentryzmem i zachwycającymi dygresjami – zwornikami łuków zamierzonej narracji”.

*Naturalną była jego
polszczyzna kresowa z
wieloma naleciałościami
litewskimi i białoruskimi, znał
gwarę warszawską, ale i
dialekty mazurski czy
kaszubski*

Bo zasób leksykalny,
do którego sięgał
pisząc swoje książki,
był
nieprawdopodobnie
bogaty. Naturalną
była jego
polszczyzna kresowa
z wieloma
naleciałościami

litewskimi i białoruskimi, znał gwarę warszawską, ale i dialekt mazurski czy język kaszubski. Interesował go slang, jakiego używali Polacy w Ameryce. Sam tworzył nowe słowa, a wyczucie językowe miał wspaniałe, czego dowodzą choćby „chciejstwo” czy „kundlizm”. Podobały mu się onomatopeje, podatny był na wszelkie językowe smaki i smaczki. Nieprzypadkowo, jak wiemy, jedną z nielicznych książek, którymi zachwycił się u schyłku życia, była „Konopielka” Edwarda Redlińskiego. A gdy pytano go, jak kto robi, że w jego książkach słowa są tak mu uległe, odpowiadał, że to wcale nie on panuje nad językiem, tylko język nad nim.

Bo jak nikt inny nie zaprezentował wojennego wysiłku polskiego żołnierza. Dość wspomnieć „Westerplatte” i „Hubalczyków”, a już sława „Bitwy o Monte Cassino” przyćmiła wszystkie inne jego książki. Dziś, gdy możemy porównać Wańkowiczowski obraz tej bitwy z pracami innych autorów, jesteśmy w zupełnie innej sytuacji niż kilkadziesiąt lat temu, gdy okrojona wersja „Monte Cassino” została wreszcie wydana w kraju, stając się z miejsca jedną z najważniejszych pozycji tysięcy domowych księgozbiorów, książką mającą w sobie coś z relikwii. „Z pewnością nie jest to historia akademicka, najeżona przypisami i

wyczerpującymi argumentami – pisał w przedmowie do ostatniego wydania ‘Bitwy...’ Norman Davies. – Cechuje ją przystępność dzisiejszego bloga, tworzona pod wpływem chwili i emocji, który nie wzbrania się przed subiektywnymi poglądami i reakcjami na zaistniały stan rzeczy, a zarazem jest to utwór o przejrzystej strukturze, erudycyjny i w świetnym stylu. Tętni kolorami i życiem, zachowując wierność duchowi uczestników tamtych wydarzeń, którym jednocześnie jest dedykowany”.

Książka ma bohatera zbiorowego – jest nim żołnierz polski. Ten, który był mu zawsze bliski, którego rozumiał i który potrafił mu się odwdziżyć za docenienie jego wysiłku, za krzepiące, jakże potrzebne słowa otuchy. Jak ci żołnierze w powrześniowej Rumunii, którzy słuchając Wańkowicza nie mogli się nadziwić, że „można myśleć o Polsce tak, jak to tkwi w głębi ich duszy”.

A odnośnie do „Bitwy o Monte Cassino”, autor zapytany o nią dwa tygodnie przed śmiercią, udzielił takiej odpowiedzi: „Sądzę, że książką choć w części spłaciłem pewien dług, jaki mamy wobec żołnierzy spod Monte Cassino, którzy szli do Polski nie najkrótszą drogą i nie dotarli do niej z rozwiniętymi sztandarami – ale szli, płacąc krwią i wnosząc nie mniejszy od innych wkład do zwycięstwa”.

Bo gdybym miał wskazać utwory, najdoskonalej ukazujące martyrologię polską podczas II wojny światowej, z pewnością znalazłyby się wśród nich, niewielkie rozmiarami a gigantyczne duchem – „Dzieje rodziny Korzeniewskich”. Rodziny wymordowanej, jak pisał Wańkowicz, choć jej członków nikt nie zabił. Nie przeżyli, po prostu.

Ci nasi rodacy, wywiezieni przez Sowietów w lipcu 1940 roku, nie byli nawet zesłańcami. W myśl kategorii wynalezionych w Kraju Rad, nazywano ich „wolnoosiedleńcami”. Naprawdę wolno umierali. Póki można, ratując się zjadaniem kotów, psów, podpłomyków z jakiejś rośliny tylko trochę przypominającej kukurydzę. W końcu do zjedzenia nie było już niczego i nie dało się w nieskończoność powtarzać dziecięcej zgadywanki: „Nie je, nie pije, a chodzi i żyje. Kto to?”. Umierali więc cicho, bez skargi nawet. *Szablono*wa historia – z przejmującą goryczą skonstatuje Wańkowicz, bo i cóż tu mówić więcej.

W żadnej innej książce, jak właśnie w „Dziejach rodziny Korzeniewskich”, nie osiągnie ten mistrz językowej palety, niezrównany znawca gam polskiej mowy, takiego skupienia, takiej oszczędności słowa, prostoty czy wręcz ascezy.

Bo z powodzeniem uprawiał coś, co w związku z Edwardem Stachurą nazywamy życiopisaniem. Melchior Wańkowicz tworzył literaturę faktu, słusznie uważając, że prawda jest daleko ciekawsza od nawet bardzo fantazyjnej i pięknej fikcji. Ale w centrum swoich książek – nie wszystkich, ale wielu – umieszczał siebie, wychodząc z założenia, że jako autor może być dla czytelnika niemal tak samo interesujący jak fakty przez niego opisywane. Z czasem miało się okazać, że to, co pisał o sobie i swoich bliskich było ciekawsze od wszystkiego innego. Oczywiście, nie stało się tak przypadkiem. Był pisarz mistrzem autokreacji, ale też życie miał na tyle barwne, dramatyczne i sprzężone z najważniejszymi wydarzeniami dwudziestowiecznej historii, że przedstawiona w jego książkach panorama polskiego losu jest w dużej części autobiografią. Pod każdym względem wyjątkową.

Wreszcie, co może najistotniejsze: Bo nie czytając Wańkowicza,
krzywdzimy samych siebie.

Krzysztof Masłoń

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury –
państwowego funduszu celowego.*



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego